

# Biały miś

Energia jest potrzebna do wszystkiego.

Do samograjów, telefonu i romantycznej kolacji (nawet jeśli przy świecach, to przygotowanie posiłku jej wymaga). Czy istnieje jeszcze jakakolwiek forma ludzkiej aktywności, która nie potrzebuje energii?

Maciej Stryjecki

**M**ożni tego świata już dawno się zorientowali, że to waluta. Aby podnieść jej wartość, najlepiej kontrolować, a nawet reglamentować podaż. Nie, żeby ograniczać (to w ostateczności), ale edukować i zmuszać do diety. Uczyc, jak otaczać ją szacunkiem, kroić małymi kromkami. Każdy wat jest cenny, a jego wytworzenie zabija kawałek przyrody. Białe misie giną za kołem podbiegunowym, bo cywilizacja pławi się w luksusach.

Tak powstały energooszczędne żarówki, odkurzacze i czajniki – technologia w wersji light. Różnie się ona sprawdza. Nie istnieje coś takiego, jak „energooszczędna grzałka”, bo jest konstruowana od stu lat tak samo. Żeby zagotować litr wody, trzeba dostarczyć tyle i tyle watów. Czajnik niepoprawny politycznie zrobi to w 20 sekund, energooszczędny – w 4 minuty. Moi rodzice mają taki „zielony” i kiedy chcę sobie zrobić herbatę, to zanim zaleję torebkę, dawno mi przejdzie ochota. Inna rzecz, że sukces jest, bo prąd został w gniazdku. Warto się też przyjrzeć żarówkom. Oby nie z bliska, bo jeśli któraś ma powyżej 2000 lumenów, to może uszkodzić wzrok.

Pierwsze były świetlówki, wypełnione rtęcią i innymi zabójczymi pierwiastkami. Dawały „wielkie oszczędności”, tylko miały jedną wadę – tąpnięcie energetyczne przy rozruchu. Ale za to potem im dłużej się świeciły, tym było taniej. Nieświadomi ludzie montowali je na klatkach schodowych, gdzie światło ciągle się włącza i wyłącza. Wypalali w ten sposób wszystkie oszczędności, ugrane na wieczornych posiadówkach przy trupiej bieli. Mało kto o tym wiedział, ale w imię ekonomii zakazano sprzedaży mocnych żarówek tradycyjnych. Później systematycznie

ograniczano ich moc. Do takich wartości, że nie nadawały się już do niczego, prócz romantycznej kolacji. Spowodowało to upadek firm „żarówkowych”, bo koncerny na rewolucję były przygotowane. Na rynku pozostali egzotyczni wytwórcy. Ot, chociażby z Białorusi i Ukrainy. Udało im się, dziwnym trafem, zapęścić półki w składach budowlanych towarem po 0,99 zł/sztuka. Szybko pojawił się jednak problem – taka żarówka działała dwa dni, a potem się przepalała. Tymczasem w piwnicy mam jeszcze takie, które pamiętają, jak chodziłem do podstawówki.

Na szczęście, ktoś się zorientował, że kiedy się stłucze świetlówka-rtęciówka, to trzeba ewakuować pół bloku i „jedynie słuszne politycznie” źródła światła wycofano z rynku chyłkiem i ze wstydem. Odsiecz przyszła w postaci LED-ów. Mają być rozwiązaniem wolnym od wad.

Wydaje się, że faktycznie. Choroby dziecięce zniechęciły jednak większość użytkowników, bo światło było nieprzyjemne i zimne. Hasło, że „trzeba się przyzwyczaić”, jakoś nie przemawiało. Technologia się jednak rozwinęła i problem sam się rozwiązał. Wśród obecnych żarówek z wyższej półki spora część świeci nie gorzej niż Edison. Pojawiły się nawet firmy specjalistyczne, oferujące w pewnym sensie hi-end, choć nie za pieniądze porównywalne z ceną szlifierki do winyłu. Z drugiej strony, ludzie „nauczyli się światła”, a raczej jego parametrów. Kiedy czytam na pudełku, że żarówka ma 6000, 4500, 2700 czy 1800 kelwinów, to wiem, czego się spodziewać. O ile oczywiście liczby nie kłamią. Aż się dziwię, że nie ma jeszcze takiego zawodu, jak doradca świetlny.

Warto jednak wrócić do sedna, czyli oszczędności. Jak zwykle, życie okazało

się „brutal and full of zasadzkas”. Wymieniłem wszystko, co świeci, na LED-y. Nie tylko w kuchni, dużym pokoju i sypialni, ale też w okapie, lodówce i nad lustrem w łazience. Jak iść, to na całość. Operacja kosztowała tyle, co para dobrych słuchawek. Niech tam, prąd drożeje, a dioda potrafi żyć i świecić (no, z czasem trochę przygasa) nawet 15 lat. Ciągnie 1/10 tego co klasyczna bańka, więc musi się opłacić. Prawda, że piękne? Ano, nie do końca, bo rachunki nie spadły.

Nowe żarówki wprowadzie nie ciągną tyle prądu, ale podobno – tak tłumaczyli specjaliści – wymagają pewnej „gotowości” (coś w rodzaju linii kredytowej międzynarodowej finansjery, która odbiera od nas setki milionów euro za to, że ma dla nas przygotowaną pożyczkę). Jakie są parametry owej „gotowości”, nie wiem. Fizyk też się zaduma, ale nowe liczniki potrafią ponoć zmierzyć energię „potencjalną”. Temat był umiarkowanie głośny rok temu, ale jakoś go duże media nie podjęły i zgasł. Pojawiło się za to dementi, że to kaczka dziennikarska i najzwyczajniejsze w świecie głupoty.

W eter poszło więc kolejne tłumaczenie, bardziej logiczne, przekładające się na szeroko pojętą elektronikę. Tę grającą również. Układy zasilające o charakterze impulsowym nie pobierają prądu cały czas, lecz w chwilowych dawkach. Tymczasem „nowoczesne cyfrowe liczniki nie są dostosowane do mierzenia zużycia prądu przez współczesne, energooszczędne produkty”. Masz babo placek... Zrezygnowaliśmy z klasy A i jedynym, w dodatku wątpliwym beneficjentem jest biały miś.

Specjalista radzi: „jeśli podejrzewamy, że rachunki za prąd są za wysokie, możemy się zwrócić z prośbą o badanie laboratoryjne do zakładu energetycznego. Jest to jednak ryzykowne, bo koncern może nas obarczyć kosztami jego przeprowadzenia, jeżeli nasze przeczucia okażą się błędne”. Jedyny ratunek to wezwać elektryka. Niech zweryfikuje wskazania licznika, a potem możemy powalczyć. Konkludując: wszystko, co energooszczędne, jest dobre, tylko liczniki złe. A tylko ich dotknij, człowieku, plombę zerwij, to dopiero zapłaczesz złotymi łzami.

Powiecie, że to wielkie przekręty? Ja tam nie wiem, bo nasza redakcja robi w niszy. Zajmujemy się gadżetami dla bogaczy, którzy watów nie liczą, a jeśli już, to chcą mieć ich jak najwięcej.

A jak mi prąd wyłącza, to za miesiąc napiszę o baterijkach.